

## Dziwotwór

przełożył Miłosz Waligórski

Mam na imię Mustafa. Jestem z tych, na których lepiej nie patrzeć. A jeśli między nimi dałoby się wskazać najgorszego, byłbym nim ja. Kiedy w Tešanju jakaś kobieta zachodzi w ciążę, nie wolno jej przechodzić obok mojego domu. Mówią, że jak mnie zobaczy, urodzi dziecko brzydkie jak żadne inne. Wierzą w to zarówno muzultmanki, jak i chrześcijanki. Kiedy byłem dzieckiem i ledwie sięgałem mamie do kolan, głąkała mnie po głowie i mówiła: Kochany Mustafku, ciebie dobry Allah z zazdrości stworzył, żeby tylko on mógł cię oglądać, i żeby nie było mu przykro. I dodawała, że to szczęśliwy znak, bo Bóg zawsze chowa przed ludzkim wzrokiem to, co udało mu się najlepiej, ale jak to możliwe, że dobre jest coś brzydkiego, tego matka już nie umiała powiedzieć. Istnieją rzeczy, o których wie cały świat i tylko matki nie mają o nich pojęcia, bo gdyby miały, ludzkość przestałaby się rozwijać. Ale nie mnie o tym opowiadać. Lepiej, żebym dalej mówił o sobie, a nie o innych. Mam na imię Mustafa, ale na to imię nie reaguję. Kiedy chcę zwrócić się do siebie, szepczę: Dziwotwór.

Mój ojciec też miał na imię Mustafa. Kiedy się urodziłem, ludzie pytali go, jak będzie nazywał się mały. Tak samo jak ten, kto go stworzył, odpowiadał, a oni patrzyli po sobie, czy Mujo przypadkiem nie zwariował, a może za bardzo uwierzył w swoją wyższość, że dziecko imieniem Pana Boga nazywa. A ojciec ani myślał o Stwórcy, chodziło mu o siebie samego. Dobry Allah cię pokarze, powtarzali bracia, babcia dziwiła się, a dziadek siedział u siebie na piętze, pykał z cybucha i zarówno dobro, jak i zło pozostawiał własnemu biegowi. To wszystko działo się, kiedy przyszedłem na świat. Nazwali mnie Mustafa. Wszyscy byli zadowoleni, że mojemu ojcu nie strzeliło do głowy nic gorszego, bo gdyby strzeliło, z pewnością by to zrealizował. Było to w czasach, kiedy Bośnia obfitowała w sieroty, a na agów nawet po stu wezyrów nie miało siły. Ludzie rodzą się bez twarzy. Gdy mają sześć miesięcy, wyglądają tak samo, nieważne czy chłopak, czy dziewczyna, i nie wiadomo, czy będą podobni do ojca, czy do matki. Po roku już coś widać i jak to coś zobaczył mój ojciec, złożył ręce niczym chrześcijanin przed kościołem, ale nie odezwał się ani słowem. Potem, kiedy chodził po ulicy, nieznacznie opuszczał głowę i, czekając, aż biegnąca przed nim raja usunie wszystko, co stanie mu na drodze, nie wpatrywał się w ruch nieba jak dawniej, tylko zatrzymywał wzrok na wysokości dachów najwyższych budynków. Czas mijał i coraz lepiej było widać, jaki jestem, a jego spojrzenie opadało niżej i niżej, aż w końcu utknęło między kamieniami bruku. Beju Mustafo, wołali do niego ze sklepu, jak rośnie następcą? A kiedy się odwracał, żeby zobaczyć, kto go zaczepia, nikogo nie widział, bo albo się przed nim chowali, albo to ojciec słyszał głosy, które po prostu nie istniały.

Miałem siedem lat, gdy od nas odszedł. Co ze mnie za bej, ani to mój majątek, ani moja żona, ani moje dziecko. Nie mam nikogo. Nad potokiem, daleko od miasta z wierzbowych witek uwił sobie bartłóg. Chodził po wsiach, od domu do domu i prosił o jałmużnę. Matka co jakiś czas odwiedzała go i namawiała, żeby wrócił, błagała na wszelkie możliwe sposoby, ale on nie chciał. Kiedyś mu powiedziała: wróć, już nigdy więcej nie będziesz musiał na niego patrzeć, na co on odparł, że nie ma syna i że każdy ojciec, który odrzuci swoje dziecko, skończy w piekle. Uciekła zapałkana, ale potem przychodziła znowu i wszystko zaczynało się od początku. Kochała go tak, jak kobieta kocha swojego męża, nie życząc mu nigdy źle i nawet w najtrudniejszych chwilach nie przeklinając jego, a własnego ojca za to, że wybrał dla niej takiego człowieka. Jak tylko jesień przechodziła w zimę i nastawały letnie upały, w czasie których schły wszystkie źródła i nie było skąd brać wody, moja matka Sena wyruszała, by sprowadzić ojca do domu. Przekonywała: przecież on w ogóle nie jest taki, jak myślisz, dziecko jak każde inne. A on tylko spoglądał na nią smutno jak psisko złapanie w sidła na lisy i nie mówił nic. Nawet tego, że nie ma syna, i że każdy ojciec, który odwróci się od własnego dziecka, trafi do piekła.

Było to w Dniu Hazrat Alego<sup>1</sup>. Dwóch mężczyzn przyniosło mojego ojca do domu i położyło go na podłodze z twarzą skierowaną na wschód. Miałem wtedy dwanaście lat. Usiadłem obok niego, leżał spokojnie, palce lewej dłoni miał szponiasto rozpięte jak krogulec polujący na zającą. Próbowałem je wyprostować, ale prędzej złamałbym dębowy konar niż nieboszczykowi odgiąć palce. Myślałem o tym, jak z taką ręką złożą go na mary, jak opuszczą do grobu i jak w tym groźącym geście pokaże się przed Bogiem.

Później odepchnęli mnie na bok i zaczęli przygotowywać ciało do pogrzebu. Kiedy ściągali z niego łachmany, z długich brudnych włosów i brody wypęzwały robaki. Czarne wszy, były ich dziesiątki, błąkały się po drewnianej posadzce. Nie wiedziały, dokąd pójść, muhadzirowie pośród obcego świata. Wszy urodzone w jego włosach i brodzie razem ze swoimi babkami i matkami, z których jaj się wylęgły, wszystkie one były jedynymi żywymi istotami, które w dniu śmierci mojego ojca coś utraciły. A ja go zabiłem, bo jestem, jaki jestem – gorszy od robaka.

Nazywam się Mustafa, ale od czasu, kiedy pochowaliśmy ojca, jestem Dziwotwór. Żeby nie rzucać uroku na dzieci, które mogłyby mnie zobaczyć, przestałem wychodzić z domu. Stoję tylko w oknie, a ludzie niech uważają, żeby nie puszczać swoich pociech na moją ulicę.

Czasem mam ochotę oglądać świat, który nie przemija. Idę wtedy do ogrodu za domem i patrzę, czy nie kwitnie jakaś róża. Sadzę je własnymi rękami, po dwie-trzy rocznie. Przyjmują mi się wszystkie, a innym nie. Moja mama Sena chwaliła się tym przed sąsiadkami, ale nie wierzyły, chociaż jak pierwszy raz przyszły do ogrodu, mało im oczy z orbit

---

<sup>1</sup> Tak zwane Alidżun dan, obchodzone 2 sierpnia w niektórych rejonach Bośni święto łączące tradycję chrześcijańską (Prorok Eliasza) z muzułmańską (Kalif Hazrat Ali). Przypisy pochodzą od tłumacza.

nie wylaży. Dwieście czerwonych róż, jakby ktoś wylał bruk ogniem, który gaśnie dopiero w chwili, gdy zrywa się wiatr i roznosi płatki po całej okolicy. Mawiają: jesień przyszła, Dziwotworowi rozwiła róże. Wtedy matki zaczynają robić na drutach swetry dla dzieci na zimę. Tyle ze mnie korzyści.

Pośrodku ogrodu znajduje się źródło żywej wody, które nie wyschło nawet w czasie największych susz. Kiedy dziadek mojego dziadka Selim Bej Pašalić budował dom, mówili mu, żeby nie zagarniał dla siebie źródła, że tak się nie godzi. A on im odpowiadał, że to jego woda i że zostanie w jego ogrodzie, a jeśli kiedyś nastanie taka posucha, że wszędzie poza jego źródłem zabraknie wody, to będzie znak, że nie miał racji i że woda należy do wszystkich i do Boga. Wtedy każdy będzie mógł ją pić, a on trafi do piekła, gdyż sięgnął po coś, co nie było jego. Takiej suszy nigdy nie było, a czy Selim skończył w piekle – nie mnie sądzić.

Od tej wody krasnieją róże i na jesień rumienią cały Tešanj. Bóg obdarzył mnie twarzą, na którą inni nie mogą patrzeć, ale dał mi też wodę, której oni nie mają. Dlatego zawsze powtarzam, że moja przegrana nie jest większa od mojego zwycięstwa. Kiedy mama usłyszy, że tak mówię, powie mi czasem coś takiego: wystarczy, że się wespniiesz na palce, a już masz głowę w chmurach. Nie wiem, co chce przez to powiedzieć i skąd to zna. Być może mówi się tak od lat, tylko ja tego nie słyszałem. Tak czy owak, mnie się podoba. Mama o piekle nie wspomina nigdy.

Dziesięć dni temu umarł nasz sąsiad Mensur Abaza. Nie doczekał pięćdziesiątki. Od kiedy pamiętam, całymi dniami siedział na swoim zydelku pochylony nad wetkniętym między nogi garnkiem. Był sierotą, a jeszcze większym sierotom łatał naczynia. Tyle pracował, że nie miał czasu spoglądać ludziom w twarz. Mówią, że dopiero, kiedy umarł, można było zobaczyć, jakiego koloru były jego oczy. Lubiliśmy się. Przebiegałem ulicę i już byłem w jego zakładzie. Zawsze serdecznie mnie witał. To, że na mnie nie patrzył, w ogóle mi nie przeszkadzało. Bo Mensur Abaza nie zaglądał w oczy nikomu.

Zostawił po sobie sparaliżowaną żonę. Poraziło ją przy porodzie i straciła władzę w nogach i rękach. Leżała już ponad dwadzieścia lat. Pielęgnował ją i przebierał, karmił i pił, wszystko po to, by wyręczyć Zumrę. Zumrę, której, aż do pewnego dnia, nie widziałem ani razu. Zresztą ona mnie też. Taką miałem umowę z jej ojcem. Zapomniałem, kiedy to ustaliliśmy, ale pamiętam, że nie zamieniliśmy przy tym ani słowa. Od wtedy było jasne, że Zumra nigdy nie zajrzy do zakładu, póki ja będę w środku i nigdy nie przejdzie pod moim oknem, kiedy będę w nim stał. Codziennie o ósmej rano chodziła po wodę, a ja kwadrans później pojawiałem się przy szybie i zostawałem tam dokładnie piętnaście minut, bo po dwudziestu Zumra wracała do domu. Tak to wyglądało. Aż do pewnego dnia.

Po pogrzebie Mensura Abazy przyszła do mojej matki i powiedziała: ojciec odszedł, a my dwie nie wiemy, jak i z czego dalej żyć. O jałmużnę grzech prosić, i tak byśmy nie przyjęły. Ale istnieje coś, co nie jest datkiem, a co bardzo by nam pomogło. Daleko mi, ciociu Seno, do źródła, kiedy ojca nie ma... Wyrzuciła z siebie to wszystko i wybuchła płaczem. Mama pocieszała ją, mówiła, że przy nas nie umrą z głodu, żeby przyjęła

jeden czy dwa dukaty i nie traktowała tego jako jałmużny, tylko jako przysługę, bo jeśli sami, żyjąc w dobrobycie, nie pomożemy głodującym sąsiadom, usmażymy się w piekle.

Słuchałem tego zza drzwi i wiedziałem, że nie jest dobrze – mama wspomniała o piekle. Po raz pierwszy to słowo przeszło jej przez usta. A kto w tym domu je wypowiada, ten z niemocy czy pychy swojej przyzywa wielkie nieszczęście. Albo uwierzył za bardzo w swoją wyższość jak nieboszczyk ojciec mój Mustafa i niedługo upadnie tak nisko, że niżej się nie da. Ale nie to skłoniło mamę do tego, by wspomnieć o piekle. Po prostu była gotowa ofiarować wszystko poza tym, czego dać nie mogła – wody z naszego źródła. Jak ją synowi zabiorą, co mu z życia zostanie?

Zumra odeszła, a że nie dostała tego, o co prosiła, nie wzięta też tego, co jej proponowano. Milczałem i udawałem, że nic nie wiem. Czekałem, aż mama sama powie, ale mogłbym tak czekać do końca świata, ona nic nie mówiła i nosiła swój grzech w sobie. W końcu powiedziałem, że to żaden kłopot, pozwalam na to, na co ona pozwolić nie mogła: niech Zumra przychodzi po wodę do mojego źródła. Róże na tym nie ucierpią, a mnie korona z głowy nie spadnie, jeśli codziennie na pół godziny je zostawię.

W tym momencie historia szczęśliwie dobiegłaby końca, gdybym został tam, gdzie moje miejsce i gdybym trzymał się tego, że obietnica złożona przez dwóch ludzi zachowuje ważność nawet po śmierci jednego z nich. A ja przyrzekłem Mensurowi, tak jak i on mi przyrzekł, że ani ja nigdy nie zobaczę Zumry, ani ona mnie. Mówią, że w Tešanju takiej piękności jak córka druciarza jeszcze nie było. Ale co jej po tym, skoro nosi znamię po matce, którą sparaliżowało, kiedy ją rodziła. To zniechęca kawalerów, mimo że w Koranie nic o tym nie ma, a samych młodzieńców Księga obchodzi mniej niż zeszłoroczny śnieg. Ale skoro jej rodzoną matkę przykuło do łóżka, gdy ją na świat wydawała, strach pomyśleć, co może stać się z tym, kto Zumrę pocałuje. To wszystko i tak nie było ważne wobec obietnicy, którą z Mensem Abazą wzajemnie sobie złożyliśmy. On wiedział, że nie chcę cierpieć z powodu piękna Zumry, a ja wiedziałem, że on woli, żeby Zumra swojego nieszczęścia nie mierzyła z moim.

Dlatego nigdy się nie widzieliśmy. I tak by zostało, gdyby nie róże.

Pierwszy raz, kiedy Zumra miała przyjść po wodę, nie dawało mi spokoju, co o nich powie i czy którąś powącha. Wyobrażałem sobie, jak chodzi od jednej do drugiej, kładzie na dłoni i zachwyca się zapachem każdej z dwustu róż po kolei. Do ogrodu jednak nie zajrzałem. Tamtej nocy przyśniła mi się Zumra wśród moich kwiatów. Widziałem ją wyraźnie. Była tak piękna, jak opowiadali, tańczyła między różami z dżugumem<sup>2</sup> na głowie tak długo, aż dżugum nie zmienił się w... Zresztą lepiej o tym nie mówić, bo jak tylko człowiek, choćby sam do siebie, zaczyna gadać o własnych snach, od razu naraża się na śmieszność. Kiedy śnimy, świat nie jest taki, jaki jest i z tym można sobie jeszcze jakoś poradzić. Gorzej, jak we śnie Mustafa przestaje być Dziwotworem.

---

<sup>2</sup> Džugum (bos. z tur.) – duży miedziany dzban na wodę.

Następnego ranka czekałem, aż Zumra przyjdzie do ogrodu. Widziałem ją, jak przed lustrem wiąże sobie chustę, jak zakłada drewniaki, idzie do pokoju matki i mówi, że niedługo wróci. Widziałem ją, choć nie widziałem niczego. I byłoby lepiej, gdyby tak zostało. Siedziałem na kanapie, nogi podwinąłem pod siebie, Księgę położyłem na kolana, umościłem się jak najwygodniej, żeby nie chciało mi się wstawać. Siedziałem i za każdym razem, kiedy poczułem pragnienie, wołałem mamę, żeby przyniosła mi wody. Ale kiedy, od prawej do lewej wodząc palcem po Jego słowach, zobaczyłem wchodzącą do ogrodu Zumrę, z trzaskiem zamknąłem Księgę grubą jak kowalski miech, zeskoczyłem z kanapy i podbiegłem do okna.

Jeśli oko jest morzem, uroniłem z niego tylko kropelkę, żeby zerknąć. Ale nawet tyle okazało się za dużo. Zumra sunęła między różami, ich główki chyliły się do niej, ale ona nie muskała żadnej z nich. Uciekała im w tym samym tempie, co wiatr poruszał kwiatami. Najkrótszym ruchem, z największą zwinnością. Żeby tylko nie zranić płatków. Czy robiła tak ze względu na ich piękno, czy po to, żebym nie zabronił jej przychodzić do mojego źródła – tego nie dowiem się nigdy. Wolałbym to drugie. Mniej bym się teraz bał.

Mam na imię Mustafa. Jestem z tych, na których lepiej nie patrzeć. Kiedy chcę zwrócić się do siebie, mówię Dziwotwór. Pod tym imieniem znają mnie ci, którzy nigdy mnie nie widzieli. To imię to był mój mir. Nie nadany przez beja ani z Bożej łaski czy przez ludzi ze strachu. Po prostu byłem Dziwotworem i wcale mi to nie przeszkadzało. Aż do dnia, kiedy jedną kropelką oka zajrzałem do ogrodu, którym Zumra szła do źródła. Potem wylałem za nią morze łez, a Dziwotwór nie był już moim imieniem, ale jedynie wyrazem mojego nieszczęścia. Chociaż, tak naprawdę, to jedno i to samo.

Patrzę na nią również teraz, jak idzie do źródła i proszę miłościwego Boga, żeby odwróciła się i spojrzała w moją stronę. Nie obchodzi mnie, co zobaczy, ale nie może być tak, że nie będzie widziała, jak na nią patrzę i zapamięta mnie takim, jaki jestem dla innych ludzi. Proszę Boga, żeby odwróciła się i tym samym popełniła grzech. A prosić o cudzy grzech gorsze jest, na pewno, od wszystkich grzechów. Gorsze niż to, że ojciec nie spojrzy na własne dziecko. Wiem, że tak jest, ale inaczej nie potrafię.

Stoję w oknie i szepczę: Zumro moja! A ona idzie wśród róż i jestem pewny, że się nie odwróci. W momencie kiedy zaczynam śpiewać i głośno za nią wołać, nachyliła się nad źródłem, nie patrząc w moją stronę. Mam na imię Mustafa, Dziwotwór mówią na mnie tam, gdzie się urodziłem. Sadzę róże, a kiedy po okolicy wiatr rozwiewa ich płatki, matki zaczynają dzieciom szyc swetry na zimę. Po tym pamiętałby mnie świat, gdybym nie zgrzeszył pychą i nie spojrział, by sprawdzić, czy Zumrze podobają się moje róże. Teraz proszę Boga, żeby złamał słowo, które między mną a jej świętej pamięci ojcem nigdy nie zostało wypowiedziane. Wiem, że tego nie zrobi i będę tak stał, aż wyschnie źródło w moim ogrodzie albo dopóki w domu Mensura Abazy zabraknie spragnionych.



*Fot. K. Ojrzyńska*

Warsztaty Douglasa Rintoula, *Zadanie z krzesłami*, fot. Katarzyna Ojrzyńska  
(maj 2011, Sopot, BACK 2)